

# Stanisław Jakóbczyk

---

## Polacy w walkach o Normandię

---

Przegląd Historyczno-Wojskowy 13 (64)/1 (239), 175-178

---

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# POLACY W WALKACH O NORMANDIĘ

Didier Lodieu, *La Massue. Les soldats polonais dans la bataille de Normandie*, Louviers 2004.

Polskie znaczenie tytułu: „Maczuga. Polscy żołnierze w bitwie o Normandię”. Na okładce umieszczono też nazwy miejsc omówionych bitew tej części kampanii normandzkiej: Saint-Aignan, Soignolles, Saint-Sylvain, Jort, oraz jej nazwę ogólną, przyjętą w fachowej i popularnej historiografii przedmiotu – kocioł Falaise.

Otóż „kotła Falaise” w rzeczywistości nigdy nie było. *Wiem o tym, czytałem o nim* – mogę z czystym sumieniem stwierdzić, parafrazując słynny okrzyk Paula Claudela po cudownym nawróceniu. Mówiąc ściślej, nie było tego kotła w takim znaczeniu, w jakim byłby, gdyby 8 lub 9, nawet 10 sierpnia 1944 r. udało się aliantom zrealizować karkołomny plan gen. Montgomery’ego, który przewidywał przebicie się kanadyjskich i polskich sił pancernych z północy na południe – do węzła drogowego w Falaise właśnie, zamykając tym samym niemieckie wojska w wymyślonym tylko częściowo przez siebie (a częściowo przez Amerykanów) „kotle”. Niemcy, jak wiemy, dążyli od 6 sierpnia na zachód, w stronę Mortain właśnie z okolic Falaise, dając się skusić szansą przecięcia amerykańskich, cienkich i świeżych, linii komunikacyjnych, biegnących tuż przy morzu (okolice Avranches, na zachód od Mortain) z Półwyspu Normandzkiego ku Bretanii i całej zachodniej Francji, gdzie już penetrowały oddziały Pattona. Gdyby udało się Niemcom dojść do morza, odcięliby te ostatnie od dostaw, tym samym osłabili, jednocześnie okrążając i niszcząc.

Z drugiej strony, ryzykowali, że gdyby nie odnieśli sukcesu, zapędzwszy się za daleko, sami mogli zostać okrążeni: od północnego zachodu, zachodu i południa przez Amerykanów, od północy i północnego wschodu przez – umownie traktując narodowość – Anglików. Ryzyko, w obliczu widomego już odwrócenia losów całej wojny, było zbyt poważne, dlatego – jak pisze Churchill<sup>1</sup> – niemieccy dowódcy byli zgodni w sceptycyzmie co do owego manewru, wykonali go jednak pod naciskiem Hitlera.

Tymczasem na północnym wschodzie Montgomery, po pierwsze – jak zwykle – opóźniał postęp sprzymierzonych: przez dwa miesiące od inwazji prawie wcale nie posunął się naprzód spod Caen (dumnie podkreślając, że tu właśnie jest punkt ciężkości i „oś” całej inwazji). Po drugie, jeśli już atakował, to siłami spoza Wysp Brytyjskich (we Włoszech byli to Hindusi, Australijczycy, Polacy i Francuzi, też zresztą głównie spoza „kontynentalnej” Francji), a jak już nie miał nikogo innego, to pchał do walki Szkotów lub Walijszczyków; tutaj wykorzystał Kanadyjczyków i Polaków. Po trzecie, kiedy już tworzył jakiś śmiały plan, to był on wadliwy

<sup>1</sup> W. S. Churchill, *Memoirs of the Second World War*, Nowy Jork 1978, s. 824–825. Oczywiście nie wspomina słowem o Polakach, za to zupełnie fałszywie sugeruje, jakoby 17 VIII Anglicy docierali już pod Rouen, jednocześnie stwierdzając słusznie, że 20 sierpnia szczęki się zamknęły – pod Chambois, rzecz jasna.

taktycznie, zakładający słabość przeciwnika i właściwie niewykonalny<sup>2</sup>. Nie udało się więc zamknąć „kotła” pod Falaise; część niemieckich oddziałów już zdążyła wycofać się na wschód. Montgomery wyznaczył zatem następny „węzeł” worka, także bardziej na wschód (i południe – Trun), potem następny, jeszcze dalej. W rezultacie miasto Falaise przestało mieć znaczenie taktyczne. Gdy Polacy zamykali „kocioł” pod Chambois 20 sierpnia, Niemców w Falaise praktycznie już nie było, ale nazwa jednak pozostała. Zapewne chodziło o utrwalenie dla potomności pomysłu brytyjskiego wodza.

Książka Didiera Lodieu jest ciekawa, może nawet dobra, ale nie bardzo dobra, nawet w swoim rodzaju, a jest to rodzaj popularnonaukowy. Urodzony w 1957 r. autor jest historykiem amatorem, typowym pasjonatem, w końcu, uznanym już specjalistą od kampanii normandzkiej 1944 r. Opublikował chyba już 7 czy 8 książek, które zostały przetłumaczone na kilka języków, i kilkanaście artykułów w czasopismach „39–45 Magazine” i „Batailles”. Dwie książki (nowsze od omawianej) dotyczą frontu wschodniego z punktu widzenia czołgistów niemieckich (o dywizji Meindla i o III Korpusie Pancernym pod Kurskiem), pozostałe – Normandii, ale nie samej inwazji na plażach, ale późniejszych walk w terenie, który autor podobno przemierzał wszędzie i wzdłuż już od 13 roku życia w poszukiwaniu ich śladów<sup>3</sup>.

Lodieu pisze językowo niby swobodnie, tzw. lekkim piórem, ale dość nieuważnie, czasem nawet niegramatycznie, często nielogicznie, chwilami niemalże nieporadnie. Dlatego ciekawa to lektura z punktu widzenia poetyki, czy też semiotyki stosowanej lub retoryki. Mniej więcej połowa tekstu to obszernie cytaty z dzienników marszowych, notatek i wspomnień pisemnych uczestników walk w 1944 r., a także zebranych osobiście wywiadów z ponad 400 weteranami różnych narodowości. Wielość narratorów powoduje oczywiście sporo narracji w mowie niezależnej, często w mowie pozornie zależnej, mozaikę różnych stylów, rejestrów, a zwłaszcza rozmaitego poziomu ogólności – a raczej szczegółowości, bo średni poziom ogólności jest tu bardzo niski – w podejściu do rzeczywistości przedstawionej. Autor zestawia wiele cudzych szczegółowych relacji z krótkimi komentarzami własnymi, skupiając się na skrupulatnych wyliczeniach i fachowych, skrótowych nazwach użytego w jakiejś potyczce sprzętu, rozwodząc się (w dygresjach wydzielonych niekiedy, na szczęście, z głównego tekstu) nad tym, czy zza jakiegoś stogu wyjechały dwa Tygrysy i jedno działo pancerne, czy też dwa działa pancerne i jeden Tygrys. Widać, że daje się wciągnąć w poetykę wspomnień 80–90-letnich weteranów, szeregowych żołnierzy lub niższych rangą oficerów.

Zupełnie inna bywa poetyka wspomnień najwyższych dowódców. Cały dwutygodniowy wysiłek polskiej dywizji pancerniej – znów musieli nasi żołnierze bić się z silniejszym przeciwnikiem, tracąc setki zabitych ludzi i dziesiątki zniszczo-

<sup>2</sup> Por. F. Skibiński, *Pierwsza pancerna*, Warszawa 1979. Podobno, gdy okazało się, że w planie natarcia I Dywizji Pancerniej wąskim pasem w jednym kierunku, angielski generał nie przewidział żadnej osłony lewego skrzydła nacierających czołgów, polscy oficerowie łapali się za głowy. Jeden z nich powiedział, że Monty nie ma pojęcia o elementarnych zasadach taktyki. Główny błąd polegał na tym samym, co powtórzono później pod Arnhem: czołgi miały posuwać się wąskimi, długimi kolumnami. Nieprzyjaciel skupiał się na unieruchomieniu pierwszego, wtedy – z flanki – miał wszystkie pozostałe jak na dłoni, czekające na zniszczenie. Generał Maczek robił, co mógł, żeby w wąsko wyznaczonym pasie działania pozorować choćby jakieś ruchy w różnych kierunkach.

<sup>3</sup> Zob. <http://didierlodieu.site.voila.fr/>; [http://fr.wikipedia.org/wiki/Didier\\_Lodieu](http://fr.wikipedia.org/wiki/Didier_Lodieu).

nych, słabiutkich czołgów<sup>4</sup>; znów bez zaopatrzenia, bez jedzenia, picia i amunicji, bez spania i bez chwili wytchnienia; i niby atakowali, ale w końcu polegało to na rozpaczliwej obronie kilku pozycji na „Maczudze” – cały ten chwalebny wysiłek, któremu Lodieu pierwszy poświęcił całą książkę, chyba nie tylko we Francji pierwszą, taki gen. Bradley, głównodowodzący amerykańskimi wojskami inwazyjnymi, kwituje w swoich wspomnieniach połową krótkiego zdania: *Zaledwie Haislip wyruszył w kierunku miejsca, gdzie miał sforsować Sekwanę, kiedy Montgomery zaproponował nam telefonicznie, abyśmy przedłużyli ramię naszych kleszczy w kierunku północno-wschodnim, do Chambois. Monty skierował już tam swą polską dywizję pancerną z zadaniem zamknięcia worka* (podkreśl. – S.J.)<sup>5</sup>.

Dla generała z HQ wojna była grą, poważną, ale grą w końcu, którą uprawiał z dawnymi kolegami ze szkoły, przy udziale „chłopaków” z innych, konkurencyjnych szkół. Dla wspominających ją żołnierzy – nawet po latach – była czymś zupełnie innym: wielkim, wstrząsającym, jak się to dziś mówi traumatycznym przeżyciem... jeżeli przeżyli.

Nawet zatem czysto – zdawałoby się – narratologicznych cech tekstów faktograficznych, które dadzą się porównać, gdyż mówią, głównie, o tej samej rzeczywistości, nie da się ujmować w kategoriach pozaetycznych, tak długo, dopóki mają jakiegoś autora – człowieka. Co ciekawe, Didier Lodieu, mimo sukcesu swoich pierwszych książek „normandzkich”, miał kłopoty z wydaniem „pancerno-niemieckich” (wydawca odmówił współpracy – domyślać się można, ze względów choćby pośrednio etycznych: jeśli nie sam czuł pewien „dyzgust”, mógł się go spodziewać u wielu odbiorców) i musiał zainwestować własne fundusze w publikację.

To się wiąże, oczywiście, z jego wiekiem i dość zatem łatwą akceptacją europejskiej (unijnej?) tzw. poprawności politycznej początku XXI w., której przejawami są, m.in. (także w omawianej pracy) obszernie fragmenty ewokujące przeciwnika aliantów (fragmenty niemieckich wypowiedzi, życiorysy dowódców i bohaterskich żołnierzy i oficerów, liczne fotografie, odręczne plany sytuacyjne i inne dokumenty), przy tym niewątpliwie dodające wartości czysto poznawczej temu dziełu. Zważyć musimy datę wydania – 60. rocznica inwazji, którą obchodzono w 2004 r. ze szczególną polityczną „pompą”<sup>6</sup>. Rocznicą ta z pewnością była również głównym asumptem do powstania tej – i wielu innych – książek na temat walk w Normandii

<sup>4</sup> Wszyscy specjaliści zgadzają się, że jedyną przewagą shermanów i cromwellów nad niemieckimi czołgami była ich... wielka liczba.

<sup>5</sup> O. N. Bradley, *Żołnierska epopeja*, tł. E. Maryniak, Warszawa 1989, s. 407. Książka ta zawiera arcyciekawą przedmowę do wydania polskiego, autorstwa Franciszka Skibińskiego. Ten doskonały fachowiec, zresztą oficer polskiej dywizji i uczestnik wszystkich jej walk (jako zastępca dowódcy 10 BKPanc w składzie 1 DPanc od 9 XI 1943 do 22 VIII 1944 r., dowódca 10 pułku strzelców konnych 22–24 VIII 1944 r. itd.) jest autorem, m.in. najlepszych monografii zarówno samej dywizji, jak i przedmiotowej kampanii. Zob. szczególnie: F. Skibiński, *Falaise*, Warszawa 1971; *idem*, *Pierwsza pancerna*, Warszawa 1979; *Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej*, t. 2, *Walki formacji polskich na Zachodzie 1939–1945*, red. nauk. W. Biegański, Warszawa 1981, s. 544–561.

<sup>6</sup> Znów ciekawostka. Widoczne w „duchu” książek Lodieu francusko-niemieckie zbliżenie dało się zauważyć w czasie tych uroczystości – po raz pierwszy obchodzono tę rocznicę razem, przywódcy obu krajów ściskali się, razem otwierali muzeum w Caen itd. Anglicy urządzili sobie osobny, wieczorny caprtyk weteranów. Królowa zaś pojawiła się jeszcze wcześniej, zanim przybyli przywódcy Francji i Niemiec, i szybko odjechała, spotykając się tylko ze „swoimi” i z Amerykanami.

(książka Lodieu o polskiej dywizji była gotowa na wiosnę 2004 r., z czego chyba możemy, my, Polacy, być zadowoleni)<sup>7</sup>.

Dzieło Lodieu, w porównaniu z wieloma wcześniejszymi zarówno polskimi opracowaniami tematu, jak i książką Mc Gilvray'a wypada całkiem dobrze. Jego zalety to m.in.: przedstawienie polskich pancernych gen. Maczka jako głównych bohaterów (podobnie jak w większości polskich publikacji<sup>8</sup>), i to z całej dywizji (a nie prawie wyłącznie z 10 pułku strzelców konnych, jak u Mc Gilvray'a); monograficzne skupienie na działaniach podczas walk w tzw. kotle Falaise (to znajdziemy tylko w krótkiej, ale znakomitej książeczce Edwarda Kospatha-Pawłowskiego), i to rozbudowane do ok. 250 s. tekstu (najwięcej ze wszystkich dotychczasowych publikacji); pełen wachlarz źródeł, w tym także fotografii, wiele pokazanych po raz pierwszy; stosunkowo dobry zestaw mapek ilustrujących tekst (najczęstszym mankamentem wszystkich dzieł historiografii militarnej jest niekorzystny stosunek (2 lub więcej do 1) liczby nazw miejscowych w tekście do ich liczby na załączonych mapkach), zwłaszcza odnośnie ostatecznej walki na wzgórzu Ormel; dbałość o historyczną prawdę, obiektywizm (przyprawiony niekłamaną sympatią do ewokowanych postaci<sup>9</sup>). Brakuje za to, oprócz jeszcze większej liczby mapek i wspomnianej, starannej korekty językowo-stylistycznej, solidniejszego komentarza do planów całej kampanii, do strategii i taktyki alianckich dowódców.

Trochę wygląda to tak, jakby w zadośćuczynieniu za przemilczanie „błędów” i zaniechań wojennych polityków i strategów, chciał nam autor podarować pomnik cnót wojskowych naszych walecznych rodaków.

*Stanisław Jakóbczyk*

<sup>7</sup> W 2004 r. na Zachodzie ukazała się angielska książka Evana Mc Gilvray'a o polskiej dywizji. Dwa lata później wydał ją poznański „Rebis” po polsku – *Marsz czarnych diabłów*, w przekładzie Jarosława Kotarskiego. Jest to książka popularna – jest napisana lepiej, ale kosztem najniższego poziomu naukowego. Tak zwaną prawdę historyczną z trudem ratuje w niej nader kompetentny tłumacz, prostując i dopowiadając wiele rzeczy, ale i tak pojawiają się pomyłki, np. co do kierunków natarcia, zwłaszcza mylona jest północ z południem.

<sup>8</sup> Oprócz wspomnianych dzieł Skibińskiego, wiele wspomnieniowych publikacji, które ukazywały się już od 1945 r., a także: Tadeusza A. Wysockiego, Stanisława Maczka, Zbigniewa Mieczkowskiego, Stanisława Wyganowskiego, Władysława Żakowskiego, Krzysztofa Barbarbskiego i Jadwigi Nadziei. Warto w tym kontekście wspomnieć o kanadyjskiej literaturze przedmiotu, zwłaszcza polecałbym: D. Whitaker *Victory at Falaise. The Soldier's Story*, Toronto 2000. Wbrew ewentualnym naszym obawom, w książce tej wiele miejsca poświęcono polskiej dywizji, oddając wiernie jej decydujący udział w operacji. Ze zrozumiałych względów, poświęcona jest jednak głównie dywizji kanadyjskiej.

<sup>9</sup> Mam tu na myśli, np. wzmiankę o pretensji gen. Simonsa (kanadyjskiego dowódcy całej akcji) do Polaków, że na swoim odcinku posunęli się tak niedaleko w pierwszych dwóch dniach walki. Lodieu ripostuje, stwierdzając, że Kanadyjczycy nie posunęli się nic dalej na swoim. Lodieu porusza także drażliwy temat rzekomego zabijania jeńców niemieckich przez Polaków. Jako obiektywny historyk stwierdza, że dochodziło do tego, ale tylko sporadycznie. Uważa jednak, że pojedyncze przypadki tego rodzaju są w pełni usprawiedliwione dwojako. Po pierwsze, były rodzajem sądu polowego (podobno dotyczyło to tylko niektórych weteranów kampanii 1939 r.), po drugie, wyjątkowością aktualnej sytuacji: w ogniu walki, nieraz 2–3 lżej rannych żołnierzy polskich musiało pilnować kilkudziesięciu zatrzymanych, gdy właśnie w sąsiedztwie atakowali inni Niemcy, no i groził bunt jeńców (zdarzało się też, że byli wypuszczani na tyły bez eskorty).